

MY, WOLNA WAŁKOWA

JAN WALC

Piątek¹

Dzwoni Zenek [Pałka] i mówi, że chciałby się ze mną zobaczyć w poniedziałek o 11. Jeśli by ktoś myślał, że do spotkania mam jeszcze trzy dni czasu – popełni błąd. I tylko o to chodzi. O poniedziałkowym spotkaniu o 11 poinformowany został sierżant ze służby podsłuchowej. Czy dowiedział się też, z kim mam się spotkać, nie wiadomo. Ja poznaję Zenka po głosie. W przeciwieństwie do sierżanta wiem, że trzeba odjąć zawsze dwa, więc umówieni jesteśmy na sobotę, godzina 9, kawiarnia Wiklina – miejsce zawsze to samo. Muszę więc zapakować torbę z niezbędnym dla niezależnego drukarza wyposażeniem (najważniejsze: ubranie, mały kuchenny robot, słuchawki, gąbka, krem do rąk) i na najbliższy tydzień wyłączyć się z życia. Istotne, by nie odwoływać przez telefon żadnych spotkań, a lepiej przypomnieć sierżantowi o tym, że w poniedziałek umówiłem się gdzieś z kimś na jedenastą. Skontaktować się z sierżantem łatwo: wystarczy zadzwonić do kogoś z przyjaciół – Kuronia, Michnika czy Romaszewskich i powiedzieć, że chciałbym się zobaczyć, ale przez najbliższe dni siedzę w domu, bo mam robotę, może spróbuję wpaść w poniedziałek, bo będę w Warszawie. I jeszcze: sprawdzić kieszenie i portfel, wyjąć zbędne kartki, zostawić niepotrzebny przez tydzień notes z telefonami – chyba wszystko.

Sobota

Rano koniecznie trzeba się wykąpać, bo nie wiadomo, czy w lokalu, do którego pojedziemy, będzie jakikolwiek ślad łazienki, potem instrukcje dla żony, jak załatwiać sprawy, które się zapewne podczas mojej nieobecności pojawią, jeszcze synek protestuje (zabierz mnie tatusiu, ja też chcę dhukować, a jak będę duży, to mnie zabiezes?), jeszcze specyficzne spojrzenie żony i trzymaj się.

Startuję. Kolejny raz wstępuję na ścieżkę wojenną. W tej chwili od mojej uwagi i spostrzegawczości zależy bezpieczeństwo drukarni: maszyny, którą poznałem już

¹ Przedruk za „Biuletynem Informacyjnym” 1980, nr 4 (38) (red.).

tak dobrze podczas już nawet nie wiem ilu drukowań, kilkuset ryz zdobytych z trudem i zwiezionych do drukarni z wielkim nakładem ostrożności, matryc, najpierw szmuglowanych z zagranicy przez kogoś, kto oczywiście bardzo by nie chciał stracić paszportu, ale jednak wracając z konferencji entomologów w Madrycie czy służbowej podróży w interesach centrali Handlopol po krajach Beneluxu, zdecydował się ułożyć na dnie walizki setkę czy dwie cieniutkich jak bibułka powielaczowych matryc, kupionych za kilkanaście franków w pierwszym lepszym papierniczym sklepie na rogu. Ode mnie też zależy bezpieczeństwo ludzi, którzy zgodzili się, żeby w ich domu zatrzymała się na tydzień nasza polowa drukarnia, ludzi, których jeszcze nie znam i nic o nich nie wiem.

Pod domem nie ma nikogo, droga wolna. Na ulicy w zasadzie „ogona” nie można złapać, bo służby wyspecjalizowane czekają zazwyczaj w miejscach ściśle określonych, a nie pętają się po mieście, szukając okazji. Niemniej jednak przechodząc wąską mało uczęszczaną uliczką, oglądam się na wszelki wypadek za siebie – nie ma nikogo. Bez przeszkód docieram do Wikliny. Zamawiam kawę, po chwili wchodzi Zenek – mój kierownik i mistrz drukarstwa niezależnego. Też nie przyciągnął ogona, o co mu zawsze o tyle trudniej, że ma dobre 180 cm wzrostu, rudą czuprynę afro i takąż brodę.

– Daleko? – pytam. Zenek oczywiście nie odpowiada, ale na serwetce pisze Rembertów, Zielona 25, Nowicki, po czym wypala w miejscu napisu dziurę ogarkiem papierosa. Jesteśmy pewni, że nikt nas nie obserwuje, ale adresu drukarni nigdy i nigdzie nie mówi się głośno, a już tym bardziej nie zostawia się na żadnej kartce.

– Nowy lokal? – pytam.

– Nowy.

– Co za klient?

– Emeryt, wuj Krystyny, no wiesz, tej przyjaciółki Pauli – wyjaśnia Zenek.

– Nie wiem. A jak warunki?

– Raczej średnio. Dom wuj stawiał osobiście,

mieszka sam, siedzi w domu i pisze książkę o Piłsudskim. Woda w studni, sławojka itede.

– Wszystko na miejscu? – pytam sceptycznie. – Żeby nam czegoś nie zabrakło.

– Nie ma terpentyny, no i oczywiście żarcia – odpowiada Zenek, któremu całą tę wiedzę przekazał zapewne ktoś, kto transportował na miejsce maszynę.

Na wuja (już mówimy o nieznanym sobie człowieku „wuj”, bo każdy lokal musi mieć jakąś własną nazwę i w tym przypadku jest oczywiste, że jest to lokal „u wuja”) w sensie kuchenno-gospodarczym niewątpliwie nie ma co liczyć, musimy więc zrobić jak największe zapasy żywnościowe, tym bardziej że będziemy pracować co najmniej po 16 godzin na dobę, a w takich warunkach zjada się niepomiarne więcej.

Zenek jest jaroszem z wyboru, zwolennikiem indyjskiej filozofii, ja zaś prawie jaroszem z konieczności, toteż po godzinnym szwendaniu się po sklepach nasze torby wypełnione są przede wszystkim serami, jajkami, śmietaną etc. Okazuje się, że w żaden sposób nie zmieścimy 10 butelek z terpentyną, bez której praktycznie nie można brać się do roboty. Ponieważ akurat jesteśmy w pobliżu domu jednego z przyjaciół dysydentów, postanawiamy pożyczyć torbę.

I to jest błąd. Torbę wprawdzie dostajemy, ale dowiadujemy się, że mieszkanie już drugi dzień obstawione. Nie jesteśmy tej informacji wcale pewni, ludzie często widzą ubeków w Bogu ducha winnych przechodniach albo dodają sobie ważności opowieściami o nieustannej obstawie. Ale gdy wychodzimy na ulicę, rusza za nami szary fiat. Przystaje, zwalnia – wszystko byle poruszać się w tempie pieszego. Teraz ważne: nie powinniśmy zauważyć, że ich widzimy. Opanowanie i precyzja. Idziemy na przystanek tramwajowy. Fiat skręca w boczną uliczkę i parkuje na samym rogu, w sposób wręcz domagający się mandatu (jeden z licznych sposobów rozpoznawania samochodów tajnej policji w akcji). Nadjeżdża tramwaj. Wsiadamy. Dwaj ubecy wyskakują z samochodu, przebiegają

jezdnię, wskakują do następnego wagonu. W samochodzie został tylko kierowca, jedzie tuż obok tramwaju, lewym pasem jezdni.

Właściwie nie ma sensownego powodu do niepokoju. Urwiemy się na pewno. Jesteśmy w tej chwili nastawieni na obserwowanie towarzyszących nam agentów i nie pojedziemy do drukarni, póki nie będziemy pewni, że ich zgubiliśmy. Tramwaj jedzie w kierunku linii kolei średnicowej. Rozważamy warianty. Ale oto przystanek przy placu Zawiszy. Fiat na lewym pasie, skutecznie zablokowany między światłami przez inne samochody i torowisko tramwajowe. To okazja, żeby go wyeliminować. Wytrzymujemy prawie do zamknięcia drzwi i wysiadamy. Niestety towarzyszący nam ubecy mają refleks i również wyskakują ze swojego wagonu. Tramwaj rusza, szary fiat również nie ma innego wyjścia. Tego przynajmniej mamy z głowy. Zbiegamy na peron kolejki WKD. Zenek podejmuje decyzję: francuski łącznik i wiadukt za pół godziny. To nasze ulubione sposoby, koncentrujące się wokół linii średnicowej. Na podziemnych dworcach i w tunelach zawodzi policyjne walkie-talkie. „Francuski łącznik” to wyskoczenie z ruszającego pociągu z pozostawieniem obstawy wewnątrz. Tym razem może to wykonać tylko jeden z nas, ze względu na utrudniające wszelkie manewry torby. „Wiadukt” to sposób murowany, ale wymagający pomocy z zewnątrz. Nadjeżdża kolejka, ja demonstracyjnie ładuję torby na półkę, Zenek przytrzymując nogą drzwi wyskakuje, zostawiając mnie sam na sam z dwoma ubekami.

Jednak nerwy, chociaż moje zadanie jest proste. Muszę ich prowadzić za sobą jeszcze pół godziny. Trochę żałuję, że nie starczyło im refleksu, żeby wyskoczyć za Zenkiem; wtedy to on by ich prowadził za sobą, a ja przygotowywałbym akcję wiadukt. Kolejka dojeżdża do Warszawy Centralnej. Wsiadam w towarzystwie coraz bliżej trzymających się ubeków i zapuszczam się w labirynt podziemnych korytarzy. Muszę tu spędzić dobry kwadrans, nie pozwalając im wyjść na wierzch, żeby nie mogli użyć swoich radiotelefonów. Coca-

-cola w barze Zachodnim, kupuję jeszcze papierosy, czas się wleczę, zachodzę do jakichś sklepów – wreszcie minęło prawie dwadzieścia minut.

Teraz na postój taksówek. Nie ma nawet wielkiej kolejki, ale jesteśmy już na zewnątrz, ubek zaczyna mówić za pazuchę. Kto szybciej? Jest taksówka i niestety dwie następne. Jadą za mną Alejami Jerozolimskimi w kierunku Pragi. Sprawdzam czas – brakuje pięciu minut, akurat tyle, żeby dojechać. Każę zatrzymać przy schodach wiodących z wiaduktu w dół, na Solec. W tym miejscu nie ma zjazdu dla samochodów. Moi opiekunowie zbiegają za mną po schodach, ale na dole czeka już w taksówce Zenek. Ruszamy. Ubecy nerwowo kręcą się w miejscu jak kura, gdy prowadzone przez nią kaczęta wypłyną na środek stawu. Jeden zakręt, drugi. Wsiadam po przejechaniu kilkuset metrów. Dalsza jazda taksówką, której numer został zapisany przez policjantów, nie ma większego sensu. Inkasując napiwek, taksówkarz odjeżdża. Dopiero wtedy podchodzimy do oczekującej nieopodal radiotaxi, którą Zenek zamówił przez telefon. Kowalski, jedenasta pięćdziesiąt – mówi Zenek.

– Zgadza się – sprawdza taksówkarz. Zenek podaje odległy adres.

Do Rembertowa docieramy koło trzeciej, bo trzeba jeszcze po takiej akcji zawsze trochę pokręcić się po mieście dla wszelkiej pewności, nie wpadając oczywiście do nikogo ze znajomych, choć przyjemnie byłoby odpocząć i napić się dobrej herbaty, ale przecież nie wiadomo, czy i tam nie dyżuruje patrol. Teraz jeszcze droga od stacji. Nie powinniśmy nikogo pytać ani o ulicę Zieloną, ani o pana Nowickiego. Więc: koło kiosku w lewo, prosto do stacji benzynowej, potem trzecią w prawo i koło transformatora elektrycznego znowu w lewo. Kawał drogi, torby ciężkie, koszule mokre, łazienki nie będzie.

Ludzie wracają z pracy. Dla nas robota dopiero się zaczyna, choć odwaliliśmy już niezłą dniówkę. Wreszcie i numer 25. Położenie idealne, duży ogród, gęsto zarośnięty, dom na uboczu, daleko

od ulicy. Psy ujadają na całego, czekamy, aż wuj otworzy bramę. Nie ma wątpliwości, że to tutaj. Wjazd w bramę rozjeżdżony jak po szarzy czołgów, ale nie ma się czemu dziwić – wczoraj albo przedwczoraj przejechało tędy tam i z powrotem pięć samochodów, które przywozły papier, i szósty z maszyną. Samego papieru 500 ryz, około 1,5 tony. Więcej niż sto ryz nie da się załadować do bagażnika i na tylne siedzenie osobowego samochodu, który i tak przy tym obciążeniu prawie szoruje podwoziem po ziemi, a reflektory zamiast oświetlać szosę działają niemal jak przeciwlotnicze.

Psy przestają ujadać. To pojawił się wuj. Wcale jeszcze niestary, zwalisty mężczyzna wyglądający na zwykłego chłopa. Jakoś zupełnie inaczej wyobrażałem sobie emeryta, który na odludziu pisze książkę o Piłsudskim, ale trzeba się przyzwyczaić, że w tej pracy zaskoczenia należą do reguł gry.

– My od Krystyny – przedstawiam ekipę.

– Taż z daleka widza – odpowiada wuj śpiewnie, wpuszczając nas do środka.

Trzy pokoiki, duża kuchnia, na stole w jadalni rzeczywiście rozłożone papiery, maszyna do pisania kontrastująca z waciakiem wuja, nad kredensem Ostrobramska. Przede wszystkim chcielibyśmy usiąść, napić się herbaty, ale trzeba zwiedzić lokal. Graty postawiliśmy w kuchni, wuj pokazuje nam pokój przeznaczony na drukarnię. Makatki, kilimki, stolik, dwa przedpotopowe łóżka, suche bukiety – ani gdzie się ruszyć. Patrzymy po sobie trochę przerażeni.

– A maszyna, papier? – cisną się pytania.

– Taż w świronie – wuj ze spokojem konstatuje fakt dlań oczywisty.

– Gdzie? – wybałusza oczy Zenek.

– W szopie – przekładam na polszczyznę literacką i od razu robi mi się jakoś przyjemniej i spokojniej. Czuję się jak w środku którejś z książek Konwického.

Idziemy do świronu. Maszyna stoi, papier jest, prawie po sufit. 500 ryz to straszna kupa. Otwieram pierwszą z brzegu paczkę. Oczywiście wilgotny

jak wszyscy diabli, ale w świronie niczego innego nie można się spodziewać. Wracamy do domu.

Musimy teraz kompletnie zburzyć spokój wuja, opróżnić przeznaczony dla nas pokój z mebli, postawić cały dom na głowie. Wuj szczęśliwie przyjmuje wszystko z kresowym stoicyzmem. Łóżka do stołowego, makatki na szafę, krzeselka tu i tam, zostawiamy tylko stolik i wnosimy dwa krzesła z kuchni. Za parę godzin i my, i wszystko dookoła będzie umazane farbą, zależy nam więc, by pozostawić na miejscu tylko to, co daje się odmyć. Przynosimy papier. Dodatkowa robota – trzeba będzie nosić go na zmianę ze świronu do domu i z powrotem, bo w naszym pokoiku po zainstalowaniu maszyny nie zmieści się wiele więcej niż setka ryz. Kursujemy z dziesięć razy, zanim na miejscu znajdzie się papier, maszyna, farba, rozpuszczalniki. Teraz trzeba jeszcze zabezpieczyć papierami podłogę i ściany – oprze się człowiek brudną ręką i jeśli farba nie jest olejna, nie ma mowy o zmyciu plamy.

Znajduję przywiezioną gąbkę, zwilżam paski papierowej taśmy klejącej; wprawa pozwala szybko okleić papierem pakowym wszystkie pozostałe w pokoju sprzęty. Zenek robi szmatę. „Szmatą” to kawał flaneli opasujący perforowany bęben powielacza i służący do rozprowadzania farby na matrycy. Zużywa się ona dosyć szybko i jest podstawową częścią zamienną powielacza, ale że praktycznie żadnych części zamiennych nie możemy dostać, dorabiamy je we własnym zakresie. Trzeba dobrać właściwy rodzaj flaneli o odpowiedniej gęstości, puszystości, grubości – wszystko to bowiem ma wpływ na przesiąkanie farby; nie raz nie mogąc znaleźć odpowiedniej w sklepach, macaliśmy i oglądaliśmy pod światło koszule znajomych, aby odpowiednią bezlitośnie zedrzeć z właściciela „dla dobra sprawy”.

Jednak jesteśmy strasznie zmęczeni. Jest już po piątej i najwyższa pora na obiad. Parzę herbatę, Zenek przyrządza naszą podstawową potrawę – jajecznicę po drukarsku, tzn. smaży żółty ser, dodaje jajka i wszystkie przyprawy, jakie ma

pod ręką. Potrawa ma same plusy: odżywcza, łatwa w przyrządzaniu i co najważniejsze, oparta na składnikach, które prawie zawsze można dostać. Jemy ją podczas każdego drukowania tak długo, póki nie zaczyna nas mdlić na sam zapach smażonego sera. Ale na razie pachnie pięknie.

Wuj obserwuje milcząco nasze gospodarowanie; kiedy wreszcie siadamy do jedzenia, rzuca bardzo krytyczne spojrzenie na naszą herbatę w kolorze prawie czarnym i sobie też przyrządza posiłek: kroi stary chleb w drobną, centymetrową kostkę, układa na talerzyku wraz z kostką margaryny, nalewa szklanek jasnosłomkowego napoju, którego w moim pojęciu nie można nazwać herbatą, wreszcie kostki chleba wrzuca do tej herbaty, a margarynę stosuje „na prikusku”.

Jednak wiele nas z wujem dzieli i nie jest to świadomość przyjemna. Przede wszystkim trochę nam głupio obżerać się (nam, ideowcom), patrząc, jak ktoś obok żywi się starym chlebem i margaryną. Jak on teraz o nas myśli? Zawsze się boimy, że ludzie wyobrażają sobie konspiracyjnych drukarzy jako świętych rewolucji, a tymczasem podczas tych paru dni drukarskiej harówki zamiast idei jest prawie wyłącznie mnóstwo zupełnie przyziemnych konkretów. Na jedzeniu nie oszczędzamy, bo to się po prostu nie opłaca; firma wypłaca nam diety po 75 zł na głowę dziennie i jeśli dołożymy coś do tego z własnych zarobków, starcza jeszcze na czekoladę i owoce. Zenek właśnie pointuje posiłek wielkim grapefruitem. Rozmowa przy jedzeniu nie bardzo się klei, wuj jeszcze na dodatek nie życzy sobie, żeby w pokoju palić, więc szybko przenosimy się do drukarni.

Zapalam papierosa i biorę się za rozrabianie farby, Zenek zaczyna rozpakowywać papier. Rozwijam papier, w który zawinięta jest pięciokilowa puszka, i – chwała Bogu, farba jest szwedzka, nieporównanie lepsza od nabywanej na coraz szerszej kwitnącym czarnym rynku polskiej. Jest tak gęsta, że z trudem daje się w nią wbić łyżkę. Nałożywszy gumowe rękawice, nabieram prawie pół przywiezionego wraz z maszyną garnka, w którym

rozrobiono już niejedną kwintal farby, dolewam pokostu i oleju (pokost lniany, olej koniecznie słonecznikowy – jeśli trafi wam się jakaś nieczytelna publikacja niezależnej poligrafii, gdzie druk przebija na drugą stronę papieru, możecie być pewni, że ktoś wlał do farby oleju sojowego lub rzepakowego) i włączam mikser (to już drugi nasz mikser, jego wysłużony poprzednik został skonfiskowany). Szwedzka farba rozpuszcza się znakomicie, tak że przecieram ją przez sitko do drugiego garnka właściwie już tylko po to, żeby Zenek nie wydziwiał.

On tymczasem sortuje rozpakowany papier. Laikowi mogłoby się wydawać, że wszystkie ryzy są takie same, tym bardziej że pochodzą z jednej fabryki i jednej partii, ponieważ jednak „polska norma” jest pojęciem bardzo rozciągliwym i elastycznie traktowanym przez kontrolę techniczną – różnią się między sobą bardzo poważnie. Farba już rozrobiona, zapalam papierosa i pomagam Zenkowi w sortowaniu. Osobno miękkie, te, z którymi będzie najwięcej kłopotu: lżejsze od pozostałych, bo zrobione ze zbyt cienkiego papieru. Wzięte za róg opadają miękko, leją się jak gdyby – brak im sztywności potrzebnej do bezkolizyjnego przejścia przez powielacz. Kolejna kwestia to rozmiary poszczególnych ryz. Nominalnie wynoszą one 297 x 210 mm, ale w praktyce odchylenia od tej normy sięgają i trzech centymetrów, toteż sortujemy papier wedle wielkości, żeby nie musieć podczas pracy stale regulować maszyny i dostosowywać jej do zmieniających się wymiarów papieru. I jeszcze jedna rzecz: trzepanie. Każdą ryzę trzeba porządnie wytrzepać, trzymając za róg, aby usunąć z niej papierowy kurz i niewielkie skrawki papieru, które podczas pracy, przyklejając się do matrycy, zatykają dziurki, przez które powinna przesiąkać farba. Trzepanie ma również na celu oddzielenie od siebie posklejanych kartek, tak aby mogły przechodzić przez powielacz pojedynczo.

Zostało do przetrzepania już tylko ze 20 ryz, więc zrobię to sam, podczas gdy Zenek przygotowuje maszynę. Muszę tylko pomóc mu wyjąć ją ze

skrzyni. Jest to stary amerykański powielacz firmy A.B. Dick, model 438, poddany przez nas rozmaitym przeróbkom i udoskonaleniom. Przewrócona do góry nogami skrzynia pełni rolę postumentu dla jego ustawienia; trzeba tylko podłożyć kawał piankowej grubej gąbki, który pozwala na częściowe wytłumienie hałasu. Podczas gdy kończę trzepanie ryz, Zenek zakłada pierwszą matrycę. Nie jest to oczywiście strona tytułowa, ale dopiero piąta, bo dobranie odpowiedniej dla danego papieru gęstości farby jest sprawą na tyle skomplikowaną, że nie ufamy swojemu doświadczeniu – jedynym probierzem jakości jest tu praktyka, a nie chcemy eksperymentować na stronie najbardziej rzucającej się w oczy.

Podczas gdy nasze czynności stają się coraz bardziej rutynowe, a lokal traci swoje indywidualne cechy, aby stać się po prostu drukarnią, zmniejsza się napięcie i stopniowo zaczynamy rozmawiać – tym razem głównym przedmiotem spekulacji jest rozpoczynający się w czwartek proces Chojeckiego². Obu nas ciągnie do sądu, ale zupełnie nie ma szans, aby skończyć druk na czas, a przestrzegamy skrupulatnie zasady niewychodzenia z drukarni podczas pracy, a już szczególnie w miejsca, gdzie z wszelką pewnością można się spodziewać obecności ubeków. Dziś jesteśmy pod świeżym wrażeniem udanej ucieczki – dawniej czuliśmy dla policji znacznie większy respekt, spodziewaliśmy się, że pracuje ona znacznie lepiej. Jeszcze dwa lata temu Zenek popadł w bardzo ostry konflikt z jednym z drukarzy, który w Wielki Piątek koniecznie chciał wyjść z drukarni na nabożeństwo, obecnie przyzwyczajiliśmy się do wychodzenia po zakupy, ale wycieczka do sądu stanowi ryzyko złapania solidnej obstawy albo wręcz 48-godzinnej przerwy w pracy. Na razie mamy jeszcze wiele czasu na podjęcie decyzji.

Zenek nałożył matrycę, włączył maszynę do kontaktu – zaczynamy. Wlewam farbę do bębna powielacza; podczas jego obrotów siła odśrodkowa będzie rzucać farbę na pokrytą flanelą perforowaną ścianę bębna, a gumowy wałek dociskający przesuwającą się kartkę spowoduje przeciśnięcie się farby przez wycięte w matrycy jak w szablonie litery. Farba musi więc mieć taką gęstość, aby przez matrycę przeciskała się jej optymalna ilość.

Zenek, który farby nie rozrabia, rzuca mi przez ramię swoje sakramentalne „za gęsta”, co jednak szczęśliwie nie powoduje żadnych perturbacji, bowiem znamy się nie od dziś i dlatego wiem, że nie był to komunikat dotyczący farby, ale raczej podkreślenie doktryny o kierowniczej roli Zenka, którą zresztą w całej rozciągłości uznaję. Ta kierownicza rola opiera się nie tylko na długim stażu drukarskim, ale na umiejętności bezbłędnego podawania.

Każdy elektryczny powielacz, także i ten, na którym pracujemy, wyposażony jest w automatyczny podajnik, który za każdym obrotem bębna wprowadza do maszyny jedną kartkę. Niestety jednak podajnik to urządzenie bardzo subtelne, szczególnie źle reagujące na wszelkie odchylenia od ustalonych dla papieru normatywów, i to reagujące z bezmyślną konsekwencją maszyny; chwila nieuwagi i już kłębią się jedna za drugą kartki nie znajdujące dla siebie ujścia, bo któraś była nierówna i utknęła po drodze – podajnik jak miotły z bajki o uczniu czarnoksiężnika podaje dalej, póki go nie wyłączyć.

W dodatku nasz stary A.B. Dick łącznie ze swoim automatycznym podajnikiem nie był przez konstruktorów pomyślany do przerobu tak ogromnych ilości papieru i jak na nasze potrzeby pracował stanowczo za wolno, zmieniliśmy więc przełożenie przy silniku, by osiągnąć szybkość druku ok. 3 kartki na sekundę. Tego tempa podajnik

² Proces Mirosława Chojeckiego, szefa Niezależnej Oficyny Wydawniczej NOWA, oskarżonego o kradzież powielacza i aresztowanego w marcu 1980 r., odbył się 12 czerwca. Chojeckiego i drukarza NOW-ej Bogdana Grzesiaka skazano na 1,5 roku pozbawienia wolności w zawieszaniu (red.).

nie był już w stanie wytrzymać i właśnie jego rolę pełni obecnie Zenek: podczas każdej sekundy wsuwa miarowym ruchem do maszyny trzy kolejne kartki całymi godzinami – numer „Biuletynu Informacyjnego” to około pół miliona takich jego ruchów.

Powielacz ruszył. Pierwsze kartki są jeszcze nieczytelne, farba powoli nasycza flanelę i jak przy wywoływaniu fotografii wytłaniający się na kolejnych kartkach obraz staje się stopniowo coraz wyraźniejszy, wreszcie jest zupełnie czytelny. Choć przez nasze ręce przeszły już miliony kartek, dziesiątki ton papieru, jednak kartki rytmicznie wpadające jedna za drugą do odbieralnika przyciągają wzrok. W oczach topnieje ryza białego papieru przed Zenkiem i jednocześnie rośnie przede mną stos zadrukowanych kartek. I już następna ryza. I następna.

Zwabiony miarowym stukotem powielacza w drzwiach staje wuj i oczywiście podobnie jak my zaczyna gapić się w przelatujący przez maszynę strumień kartek. Oderwał wreszcie wzrok od maszyny i rozgląda się po pokoju, którego nie sposób poznać. Wzrok jego pada i na podłogę usłaną brakami, więc schyla się, podnosi jedną z kartek, czyta i doszedłszy najwidoczniej do wniosku, że jest zupełnie dobra, usiłuje włożyć ją do odbieralnika. Robi to niby sprawnie, w ciągu zaledwie półtorej sekundy, więc na podłodze ląduje ledwie 5 kartek właśnie przez Zenka wyprodukowanych, którym niechcący zatarasował drogę.

– Isz, ty, skacina – mruczy wuj z naganą, ale i z pewnym podziwem, dla wszelkiej pewności włożywszy ręce w kieszenie.

Rozumiemy go bardzo dobrze, bo był taki czas, że przepisywaliśmy godzinami „Komunikaty” KOR-u na maszynie i każda zmarnowana kartka oznaczała o jedną kopię mniej – dziś kartka to 0,004 promila przerabianego przez nas przy jednym numerze „BI” papieru, więc jeśli na podłodze znalazłoby się 10 ryz, stanowiłoby to dopiero 2% braków, a o większej sprawności nawet nie próbujemy marzyć.

Zrobiło się już prawie ciemno, więc korzystając z obecności wuja, prosimy o jakiś koc do zasłonięcia okna. Lepiej, żeby światło palące się przez parę nocy nie zwracało niepotrzebnie niczyjej uwagi. Chyba już skończone wszystkie prace wstępne i najbliższe dni to tylko stukot maszyny, rozrabianie farby, pakowanie i rozpakowywanie papieru.

Wuj poszedł do siebie, Zenek włącza przywiezione radio i oczywiście nastawia na pełny regulator jakąś rozrywkową muzykę. To źródło naszych największych drukarnianych konfliktów – nie mam słuchu i muzyka prawie dla mnie nie istnieje, zaś ta, którą tak lubi Zenek, i przecież nie on jeden, puszczana zawsze na całą moc głośnika, stanowi dla mnie fizyczną męczarnię. Rytmiczny jazgot perkusji wdziera się do środka, czuję go w głowie, w brzuchu, wszędzie. Dlatego przywiozłem ze sobą słuchawki, oczywiście nie dla siebie, a dla Zenka. Ten, przyzwyczajony już do mojego dziwactwa, ale ciągle nie mogąc go zrozumieć, z wzruszeniem ramion, ale i uśmiechem nakłada słuchawki – i... nie cisza przecież, ale rytmiczny stuk powielacza, w gruncie rzeczy nieprzyjemny hałas, do którego jednak jestem już tak przyzwyczajony, że wydaje mi się ciszą.

Praca idzie teraz jednostajnie, Zenek co parę minut bierze nową ryzę, przerywając tylko wtedy, kiedy w słuchawkach zaczynają coś mówić. Wtedy wyłącza maszynę, kręci przez chwilę gałkami i oto już słyszę jak przez mgłę dobywający się cichutko spod słuchawek znajomy brzęk perkusji. Zenek podaje, ja obstukuję ryzy. Ładujące w odbieralniku kartki nie układają się równo jedna na drugiej; chociaż wystają na boki ledwie po parę milimetrów, jednak w takim stanie nie można przepuścić ryzy przez powielacz ponownie dla zadrukowania jej z drugiej strony. Przedtem brzegi ryzy muszą zostać wyrównane tak, aby wyglądały jak obcięte nożem. Każdy, kto kiedykolwiek pisał na maszynie w kilku chociażby egzemplarzach, wie, jak trudne jest ułożenie kilkunastu choćby arkuszy papieru – tu chodzi o tych kartek 500.

Ponieważ ryza prawie nigdy nie stanowi idealnego prostopadłościanu, składające się na nią kartki nie są bynajmniej tej samej wielkości, przeto podczas obstukiwania nie można zmieniać ich kolejności, nie mówiąc już o łączeniu kartek z różnych ryz; każdy taki błąd powoduje nierówność brzegu ryzy i natychmiast owocuje brakami – kartki zaczynają przechodzić przez powielacz po dwie czy trzy naraz, a zadrukowana zostaje oczywiście tylko jedna z nich. Ważne też, żeby przy obstukiwaniu nie obrócić partii kartek do góry nogami (tzw. walet), o co przy jednostajności pracy łatwo, wtedy bowiem strona parzysta wydrukowana zostanie odwrotnie.

Ciągle stukam. Zenek robi już trzecią matrycę, stos jednostronnie zadrukowanych ryz roślinie. Tworzą one równo ułożone kolumny po 12 sztuk, kolumny bardzo chybotałe i w każdej chwili gotowe przewrócić się i rozsypać. Niestety nie można od razu drukować drugich stron, trzeba bowiem dać farbom podeschnąć na tyle, żeby się nie mazała. Badam palcem pierwsze z zadrukowanych dziś ryz – ciągle wilgotne. Więc jednak coś nie w porządku z farbą. Zatrzymujemy maszynę, dolewam pokostu, oczywiście na oko, jak każda szanująca się kucharka. Jeszcze parę ryz i będzie dobrze.

Wychodzę do sławojki. Gwiazdy świecą, gdzieś w bzach śpiewa słowik, psy podbiegają, merdając ogonami. Po prostu świat. Wracam bardzo powoli, rzucam psom patyki, zagapiam się. Ale trzeba wracać. Już w drzwiach uderza jak obuchem zapach drukarni: olej, pokost, nafta i terpentyna, których używa Zenek do przemywania matrycy, która mimo trzepania papieru pokrywa się grubą warstwą kurzu już po 2 tysiącach egzemplarzy – konglomerat po prostu trujący. Jego działanie na ludzki organizm poznaliśmy bardzo dobrze; najbardziej dał nam się we znaki, kiedy drukowaliśmy u pewnego zawodowego moralisty i ów szlachetny uczony mąż kazał nam spać w tej samej piwnicy, w której pracowaliśmy.

Ale dochodzi jedenasta wieczorem, więc radio zmienia swe przeznaczenie: koniec z muzyką,

teraz godzinka politgramoty. Zabieram Zenkowi słuchawki i rozpoczynam łapanie Wolnej Europy. Tylko ze względu na nią wozimy radio ze sobą. Jest to radziecki tranzystor Spidola, na którym zawsze daje się ją złapać. Dziś nic specjalnego: Afganistan, ropa, EWG, Carter, Chomeini... Już po dzienniku i Józef Ptacek mówi do swoich słuchaczy o prześladowaniach działaczy opozycji demokratycznej w Kraju, które znowu się nasiliły.

Niedziela

Północ. Przelecieliśmy czwartą matrycę (z siedemdziesięciu dziewięciu) i będziemy drukować drugie strony. Chwila przerwy, robię sobie herbatę, Zenek wypija kubek śmietany, dolewamy jeszcze farby i jedziemy dalej. Teraz nie obstukuję ryz, ale mam inną robotę – pakowanie gotowych i sukcesywnie rozpakowywanie, sortowanie i trzepanie następnej porcji papieru. Maszyna idzie świetnie, w nocy napięcie w sieci podnosi się niemal do nominalnych 220 woltów – kiedy po południu spadnie do 170, bęben będzie się kręcił znacznie wolniej.

Zenek znowu słucha swojej muzyki, ja mam niewiele do roboty i już widać, że pomału zaczyna zbliżać się pierwszy kryzys. Nie ma na to rady, bo im bardziej doświadczonymi jesteśmy drukarzami, tym mniejszy jest udział świadomości w pracy. Ruchy i czynności są już zautomatyzowane, pozbawione wszelkich elementów zbędnych; maszyna stoi w takim miejscu, żeby po papier móc sięgnąć, nie wstając z krzesła, gąbka zwilżona jest w takim stopniu, by moczyła taśmę klejącą, nie zmywając jednak kleju. Zenek podając rusza tylko jednym palcem – słowem, gdybyśmy mieli drukować coś nam obojętnego, zapewne oszalelibyśmy po jednym dniu pracy. I właśnie dlatego drukujemy „Biuletyn Informacyjny”, pismo, które obaj uważamy za najważniejsze w kraju, przy czym mój sąd trudno uznać za obiektywny, skoro stale drukuję w nim swoje własne artykuły.

Jest już trzecia i trochę przysypiamy obaj, tyle że Zenek stara się do tego nie przyznawać. Kiedyś miał większą odporność na zmęczenie – potra-

fił pracować i 40 godzin bez snu. Dzisiaj jest już trudniej – może minął okres burzy i naporu, może tylko lecą lata, może odzywają się w kościach te wszystkie drukarniane i te spędzane po aresztach noce (w marcu spędził ich tam 10, w kwietniu 6 i został tak pobity, że nie mógł drukować poprzedniego „Biuletynu”), a najpewniej wszystko naraz. W tej sytuacji nie pozostaje mi nic innego, jak ukręcić kogel mogel i zrobić kakao. Jeden kubek ma wartość kaloryczną równą połowie dobowego zapotrzebowania spokojnego urzędnika, więc starczy nam na jakieś dwie-trzy godziny.

Ożywiłiśmy się trochę, więc zaczynamy rozmawiać. Wraca odwieczny temat, którego nigdy nie zakończymy: próba interpretacji polityki władz wobec opozycji, próba zidentyfikowania celów, jakie stawiają sobie nasi przeciwnicy. Pierwsza i najbliższa sprawa: po co nas wczoraj gonili? Przecież nie chcieli nas aresztować, bo byliby to uczynili. Z doświadczenia powinni wiedzieć, że do drukarni ich nie zaprowadzimy. I to tyle dziesiątków razy powtarzane pytanie: ile jesteśmy warci? Ile wynosi premia dla funkcjonariusza, który wykryje drukarnię? Ale to już kwestia czysto akademicka. Są jednak i pytania bardziej praktyczne: jeśli ściągająca nas grupa obstawiała mieszkanie, w którym znaleźliśmy się przypadkiem, to musiała zameldować centrali opuszczenie zajmowanego posterunku i rozpoczęcie inwigilowania nas, a więc w konsekwencji parę minut później kierowca samochodu musiał meldować, że się zgubił i chyba go za to nie pochwalili.

– Już ty się o niego nie martw – przerywa moje dywagacje Zenek – na pewno tak nałgał, że wyszedł na czysto.

– Pewnie masz rację. To wyjaśniałoby ich niewyczuwalność jako konsekwencję opierania się na fałszywych przesłankach – moja skłonność do racjonalizowania otaczających nonsensów jest po prostu chorobliwa.

– Jasiu, farba – to Zenek przywołuje mnie do rzeczywistości.

W czasie dyskusji druk w dolnym rogu kolejnych – liczę na oko – dwustu kartek zaczyna niebezpiecznie blednąć, dochodząc do granicy czytelności. Dolewamy. W poczuciu winy nakładam rękawice i dorabiam farby na zapas – pełny garnek. Jest wpół do szóstej i Zenek kończy ósmą matrycę. To już 10% roboty. Byle tak dalej.

Znowu drukujemy pierwsze strony, skończyło się pakowanie i znów muszę klepać poczochrane ryzy. Ale kakao jeszcze działa, więc wracam do policji. Do czego im ma służyć proces Mirka? W myśl klasycznej zasady *cui prodest* zainteresowany w sprokurowaniu takiego procesu powinien być raczej sam Mirek niż policja, bo zamiast utrudnić pracę NOW-ej, stanowi on dla niej wielką reklamę. I jeszcze więcej – właśnie drukujemy znajdujący się na początku „Biuletynu” blok poświęcony głodówce³; sprawozdanie jest bardzo spokojne, nie popada w samochwalstwo i skutkiem tego pomija ten euforyczny nastrój, który był udziałem i głodujących, i ich przyjaciół, i tysiący ludzi przychodzących do podkowińskiego kościoła. Nie jesteśmy sami, o każdego z nas, kiedy zajdzie potrzeba, będą walczyć tysiące ludzi. Po takim zastrzyku nadziei o tyle łatwiej żyć.

Łatwiej, nie łatwiej. Bęben od głodówkowych wspomnień nie kręci się szybciej, kartki same nie wchodzi w maszynę, ryzy nadal wymagają obstukiwania. Więc jeszcze przypominamy sobie, jak po mszach ludzie rzucali się dosłownie na bibułę, której ciągle było za mało, i wreszcie koniec dziesiątej matrycy. Jest rano, godzina 8. Wuj już dawno działa na podwórku, karmi kury, coś porządkuje. Bierzemy się za przygotowanie śniadania, ale idzie nam niesporo. Wszystko wokół jest jakieś obrzydliwe, poczynając od własnych rąk, które mozolnie obmywamy z farby przy pomocy płynu Puch przeznaczonego do prania delikat-

³ Głodówka w obronie Chojeckiego i innych więźniów politycznych została przeprowadzona w kościele św. Krzysztofa w Podkowie Leśnej od 7 do 17 V 1980 r. Wzięło w niej udział 28 osób z różnych środowisk opozycyjnych (red.).

nych tkanin wełnianych. Nie udało nam się wiele zjeść, za to przy herbacie ogarnia nas fala ciepła i ociężałości. Jedyne wyjście to szybko wracać do roboty.

Zenek wyszedł do sławojki, więc przez chwilę poświęcę się w podawaniu. Idzie mi to źle, bo nie jestem w stanie uchwycić rytmu maszyny, a że zawsze się spieszymy, Zenek praktycznie nie daje mi się uczyć. Nakładam obcięty z gumowej rękawiczki palec, biorę nową ryzę i jazda. Ta – tata – ta – ta – tatata – ta – rytm zupełnie nierówny, przeważnie puszczam kartkę co drugi obrót bębna, ryza mi się rozjeżdża, widzę, że wchodzi po dwie albo i trzy kartki naraz – słowem, obrzydliwość. Już kończę ryzę, ale oto i wraca Zenek. Oddaję mu palec i biorę się do uporządkowania swojej produkcji.

Ryza, którą wydrukowałem, jest nie tylko bardziej nierówna niż te, które robi Zenek, ale jeszcze muszę powyjmować z niej kartki źle puszczone, które weszły w złym momencie do maszyny i mają u dołu obcięty druk. Jest ich około pięćdziesięciu. Zenek cofa licznik o 60 i sennie podaje dalej. Jeszcze jedna matryca i znowu będziemy robić drugie dwie strony. Przysypiamy coraz bardziej. Wreszcie oświadczam kierownikowi, że idę spać. To jest jedyny sposób rozwiązania sprawy, bo nie przymuszony Zenek od maszyny nie odejdzie. Więc jeszcze dwunasta matryca. Idzie nam jakoś łatwiej, jak koniowi czującemu bliską stajnię. Kończymy. Wlewam jeszcze do bębna butelkę oleju, żeby farba nie zasychała, trochę się myjemy i spać.

Jest prawie południe, słońce świeci oślepiająco, ale nic nam nie przeszkodzi w zaśnięciu. Tylko chwilę pod zamkniętymi powiekami lecą kartki i dalej już nic.

– *Herr Doktor, aufstehen* – mrużę oczy, co za diabeł? To wuj znad maszyny do pisania. Zenek już się szeredzi w kuchni. Już mnie musiał wujowi przedstawić. Ciężko się ruszyć, ale zwlekam się ja-

koś i dla kurażu intonuję zaanektowaną przez nas piosenkę z IRR-u⁴:

Przez cały kraj
idziemy dwaj
czy słońce, czy upał, czy słońca – wreszcie włą-
cza się i Zenek –

potrzebna jest
czy chce ktoś czy nie
w pionie usług fachowa robota, w pionie usług
fachowa robota.

Zenek, sprawnie manewrując między stosami brudnych naczyń, robi jajecznicę po drukarsku. Biorę się za zmywanie. Zjedliśmy kolację, głowa ciężka, wychodzę na dwór na papierosa. Trochę lepiej. Jeszcze kawa. Zenek nie pije, bo mu szkodzi, ja będę za to żłopać za dwóch. Gwałcona fizjologia pomału wraca do normy, pracujemy.

Zenek robi drugie strony, a zapas papieru jest na wyczerpaniu, więc kursuję wahadłowo między drukarnią i świronem, odnosząc papier zadrukowany, a przynosząc czysty. Psy zaczepiają po drodze, chcąc się bawić. Zenek drukuje bez przerwy. Piętnasta matryca. Rozpakowuję kilkanaście ryz, jednocześnie pakując gotowe, jednocześnie fakty, wydarzenia, opinie⁵. Północ.

Poniedziałek

Kawa, kakao, herbata, śniadanie, dwudziesta druga matryca, herbata, śmietana, dwudziesta szósta, obiad, trzydziesta, idziemy spać jeszcze przed wujowymi kurami.

Wtorek

Spaliśmy 12 godzin. Wuj na śniadanie przyniósł świeże pieczywo, od rana upał i smród. Zostało jeszcze 49 matryc, do procesu zostały dwa dni. Nie ma mowy, żebyśmy zdążyli nawet na drugi dzień. Przerywać czy nie przerywać? Stukam, pakuję, noszę ryzy tam i z powrotem. Nagle w drzwiach

⁴ „Ilustrowany Tygodnik Rozrywkowy”, program satyryczny Programu III Polskiego Radia (red.).

⁵ Publicystyczna audycja w Radiu Wolna Europa (red.).

natykam się na obcego, elegancko ubranego mężczyzną. Uśmiecha się do mnie. Zaraz, przecież, tak, to wuj w garniturze i krawacie. Zaraz jedzie do Warszawy, na posiedzenie Towarzystwa Filozoficznego, którego jest członkiem. Rozmawiamy chwilę, wuj wygłasza apoteozę Jana Jakuba Rousseau, ale nagle stukot maszyny za ścianą ucicha, słychać tylko klnącego Zenka.

W pół słowa przerywam wujowi wykład i biegnę do drukarni – jeśli Zenek klnie, to coś musiało się wydarzyć. Umazany po łokcie usiłuje bezskutecznie skleić pękniętą matrycę.

– Co się stało? – pytam.

– Obciąłem sobie drugi palec – zaczyna wyjaśniać zdenerwowany Zenek.

– A kab to na rojsty? Tak ja mówił, drenemu do roboty nie brać się – wykrzykuje spanikowany członek Towarzystwa Filozoficznego, który przed chwilą rozmawiał ze mną najbardziej literacką polszczyzną.

Napięcie prysło, obaj z Zenkiem zaśmiewamy się do rozpuku.

– Taż on od rękawiczki palec obciął – wyjaśniam wujowi, sam nie wiedząc, jak i kiedy wpadam w śpiewny dialekt. Wuj naburmuszony trochę naszym śmiechem rozpogadza się. Sprawa jest jasna: Zenek zużyty palec gumowy niechcący przepuścił z papierem przez powielacz i matryca nie wytrzymała. Skleić się nie da, bo dziura jest prawie na środku. Całe szczęście, że wuj jedzie do Warszawy.

Odkładam zrobioną część 37 strony w kąt, Zenek nakłada nową matrycę. Teraz muszę zlecić wujowi zadanie. Trzeba zadzwonić pod numer dyżurnej maszynistki, przedstawić się nazwiskiem Kwiatkowski i zapytać, czy chce kupić sztruks, który zamawiała, kiedy zaś ona zapyta, ile tego sztruksu jest, odpowiedzieć, że 37 metrów. Telefon zapisałem wujowi na kartce, historyjkę powtarzam, wuj powtarza za mną – jutro powinni nam dowieźć przepisaną matrycę.

Pojechał. Zaraz będzie ciemno. Dla odmiany słuchamy Warszawy. Mówią właśnie o śmierci Spychalskiego⁶.

– Może teraz zaniesiemy ten twój wieniec? – pyta Zenek.

W pierwszej chwili nic nie rozumiem, później przypominam sobie jeden ze starych, zrodzonych w drukarni pomysłów. Kiedyś podczas kolejnej roboty zmarł nagle generał policji, wysoki funkcjonariusz MSW. Marzyło mi się wtedy pójście na pogrzeb z pięknym wieńcem ozdobionym wstęgami z napisem – „Nieodżałowanemu współpracownikowi – KSS KOR”. Przepuszczalne scenariusze śledztwa wśród adiutantów i podwładnych zmarłego pozwoliły nam zabić nudę niejednej godziny drukowania.

Pomysł do emerytowanego marszałka pasuje znacznie gorzej, ale Zenek pobudził moją wyobraźnię.

– Nie wiesz, kto zna włoski? – moje pytanie jest dla Zenka zupełnie zagadkowe.

– A po co ci? Może ktoś z kurii – odpowiada jednak przytomnie.

– Kuria mnie słabo urządza. Wolałbym kogoś ze znajomych. Pomysł jest prosty: w przeddzień procesu zadzwonić wieczorem do gen. Krzysztoporskiego i powiedzieć „Buona sera (dalej niestety po włosku nie umiem). Czy szef SB? Tu Czerwone Brygady. Właśnie przyjechalibyśmy do Warszawy. Pan wie, że bardzo nie lubimy sędziów, którzy skazują niewinnych ludzi? Do jutra”.

Mamy teraz zabawę do północy. Scenariusze paniki Służby Bezpieczeństwa. Rewizje w hotelowych apartamentach obywateli włoskich, gmach sądu obstawiony przez wojsko, sędzia Aleksander pije szklankami walerianę i tak dalej, i dalej. Zenek nawet nie słucha radia, nie wiadomo kiedy dojechalibyśmy do 44 matrycy, jest 23 – dziennik. Chojeckiego pełno wszędzie. W „Timesie” wywiad, w „Le Soir” wielki artykuł, protestują amerykań-

⁶ Marian Spychalski (1906–1980) – działacz komunistyczny, marszałek. W okresie stalinowskim więziony, w latach 1956–1968 minister obrony narodowej, 1968–1970 przewodniczący Rady Państwa PRL (red.).

scy drukarze i brytyjscy prawnicy, KOR wydaje oświadczenie, że uruchomi wszystkie dostępne środki działania, przedstawiciel Amnesty International w drodze, związek akowskich kombatanów mówi o drukarzach w najcieplejszych słowach – szykuje się wielki dzień, a my w drukarni.

Środa

Zaraz po północy wraca wuj, już od progu wszczynając dyskusję o Brzozowskim. Brutalnie przerywam, żeby dowiedzieć się, co z matrycą.

– At, coś pan pokręcił – macha ręką wuj. – Dzwonia, pytam, czy pani Kwiatkowska, a ona mnie mówi, że pomyłka. Tak sprawdziłem numer, dzwonia drugi raz, pytam, czy ten – ten, mówi, ale Kwiatkowska żadna nie mieszka. To ja jej na to: mnie tu trzeba było zadzwonić, czy ona ma 37 metry welwetu. Tak ona i o welwet stała rozpytywać i ja rozłączył się.

Usiłujemy obaj zachować kamienne twarze, dziękujemy wujowi i zaręczamy, że jakoś wszystko ułoży się, choć do końca nie jesteśmy pewni, czy Ela go zrozumiała. Jeszcze na nowej dawce kakao dociągamy do 50 matrycy i o piątej rano idziemy spać. W południe budzi nas Jurek, który przywiózł matrycę. Ma także dwie matryce „Pulsu”, bo przy składaniu okazało się, że jednej strony zrobiliśmy za mało o sto egzemplarzy i trzeba dodrukować.

Jurek jeszcze nigdy nie był w drukarni, a chciałby spróbować przyuczyć się do zawodu i dlatego Mirek go przysłał. Jest w białych dżinsach i oczywiście nie ma roboczego ubrania. Twierdzi, że będzie ostrożny i na pewno się nie pobrudzi, ale obaj z Zenkiem znamy swój fach i wiemy, że to nierealne. Szczęśliwie od wuja daje się pożyczyć jakiś stosowniejszy strój. Uczeń nie nowina, niejednego już mieliśmy, ale mało który wytrzymał. Najzdolniejszy był Tadeusz – niedrukowany pisarz, który błyskawicznie chwycił fach i założył własną ekipę.

Zjawia się wuj z kolorowym portretem Marszałka w ręku.

– Jak dwóch było, jeszcze mogło być bezhoło-

wie, ale jak jest trzech, tak musi być i Komendant – wyjaśnia, zawieszając monidło na ścianie. – Teraz wy naprawdę imienia J.P. – dodaje, patrząc z lubością na swoje dzieło.

Pomału wprowadzamy Jurka w tajniki zawodu. Na razie idzie to dość opornie, ale za to mamy nowego kompana do rozmowy. Nie znamy go bliżej, więc jakiś czas zejdzie nam na opowiadaniu o sobie.

Skończyliśmy odłożoną trzydziestą siódmą, robimy już pięćdziesiątą drugą. Jurek pyta, czy wiemy, jak jechał do drukarni papier, na którym pracujemy. Historia okazuje się fascynująca: na rewizji znaleziono u kogoś kartkę z trzema adresami. Nie było na niej co prawda napisane, co się pod nimi kryje, ale że były to adresy trzech mieszkań, w których przechowywano papier, trzeba było działać natychmiast. Wiadomo, że zanim biurokratyczna machina policyjna przeanalizuje znalezisko i podejmie decyzję, papier można uratować. I rzeczywiście, z jednego mieszkania wywieźliśmy go bez przeszkód – opowiada Jurek. – Druga porcja papieru była u Agnieszki, która mieszka w domu sąsiadującym z domem jednego z członków KOR-u. Kiedy zajechaliśmy po papier, ubecy kręcili się po ulicy. Mieliśmy nadzieję, że pilnują nie mieszkania Agnieszki, której zresztą nie było w Warszawie, ale jej sąsiada. Po cichu, nie zapalając światła, zabraliśmy papier z mieszkania i wladowali do przygotowanego fiata. Niestety za nami ruszyły dwa inne. Po chwili na Wisłostradzie do grupy trzech wozów dołączył czwarty. Policjanci najwidoczniej nie chcieli nas zdejmować, ale jak zwykle liczyli, że ich gdzieś zawieziemy, więc usiłowali udawać, że wcale za nami nie jadą, ot, przypadkowo samochód za samochodem.

– Na tym zresztą opierał się cały pomysł – kontynuuje opowieść Jurek, zapalając się. – W pewnym momencie czwarty samochód naszej kolumny wyprzedził dwa policyjne i znalazł się bezpośrednio za wozem z papierem. Policjanci nie przeciwdziałali, uważając widocznie, że tak jest nawet lepiej, bo mogą nas widzieć, a kto inny siedzi na

kółku. Nagle skręcamy w wąską boczną uliczkę, z obu stron zastawioną parkującymi samochodami. I nagle w najwęższym miejscu jadący za nami samochód psuje się. Staje, widzimy, jak kierowca wysiada, podnosi maskę, z tyłu nadbiegają tajemnicy. Pełny gaz, zakręt, jeszcze jeden. Udało się.

– Trzecia porcja papieru niestety wpadła. Policjanci oświadczyli właścicielowi mieszkania: jak wyda papier bez szukania, to nie zrobią mu rewizji. Opróżnili piwnicę i odjechali – kończy swoją opowieść Jurek.

Zrobił się wieczór, gadamy, zostało dwadzieścia matryc. Jutro o 9 zaczyna się proces Mirka. Widać już, że zdążymy na drugi dzień. Jurek już jako tako obstukuje ryzy, z pakowaniem radzi sobie zupełnie dobrze. Teraz będą drugie strony, więc na parę godzin idę spać.

Czwartek

Jurek budzi mnie trochę po północy. Po szklance herbaty i kawale kielbasy czuję się prawie wypoczęty. Zaczynam namawiać Zenka, żeby się położył na trochę, to dociągniemy do końca bez postojów. Oglądam 15 pozostałych matryc. Dwie ostatnie, tak jak mi się wydawało, nie zajmują całej kartki, więc obcinanie dolnej partii mi nie grozi. Udało się Zenka przekonać – wydziwiał jak zwykle, ale idzie spać.

Pracujemy we dwójkę z Jurkiem. Bałagan w drukarni rośnie. Podaję znacznie wolniej od Zenka, ale Jurek jako debiutant i tak nie może nadążyć z uklepywaniem. Koło szóstej rano jestem w połowie swojej trzeciej, już normalnej wielkości matrycy, kiedy budzi się Zenek, zły, bo obiecałem, że go obudzę o trzeciej. Wyganiamy spać Jurka, który twierdzi, że czuje się zupełnie dobrze, ale jest przecież bardzo zmęczony.

Śniadanie. Ostatnie w drukarni. Nie możemy patrzeć na jajka, przegryzamy trochę chleba z serem, ja zjadam jeszcze puszkę szprotek, Zenek robi sobie kornfleksy na mleku, jeszcze ostatnie ogórki z zapasów i do roboty. Teraz każda matryca to odczuwalny krok do wyjścia na świat. W po-

łudnie pozostało jeszcze siedem, wstaje Jurek, zaczynamy pomału porządkować lokal. Rozrabiam jeszcze trochę farby i można już myć i pakować mikser, sitko i jeden garnek, wreszcie wlewamy resztę farby do bębna, Zenek cały czas podaje, ja obstukuję ostatnie ryzy, koniec, teraz już będą drugie strony, tylko pakowanie.

Jeszcze trzeba uporządkować gotowe paczki w świronie, bo każdy komplet „Biuletynu” składający się z 500 egzemplarzy będzie zabierany do składania w inne miejsce i chodzi o to, żeby w transporcie nic się nie pomieszało.

Dochodzi ósma wieczorem. Zenek kończy ostatnią matrycę. Zbieram do wielkiego papierowego worka braki z podłogi i robię w ogrodzie wielkie ognisko. Zenek skończył. Teraz tylko mycie maszyny. Wylewamy resztki farby z bębna, wlewamy olej, potem tylko trochę rozcieńczony wodą Puch; ostatnia faza mycia bębna jest najobrzydliwsza, bo w terpentynie. Zenek robi to jednak dokładnie, bo pozostawione resztki zaschniętej farby bardzo utrudniałyby następną robotę.

Jednocześnie ja czyszczę mechanizmy maszyny, pokryte grubą warstwą papierowego kurzu, pozalowane farbą. Trzeba to wszystko rozkręcić, umyć naftą, naoliwić, wreszcie złożyć na powrót. Zwijamy się jak w ukropie, żeby zdążyć przed nocą dotrzeć do Warszawy. Wolna Europa nadaje jakieś enigmatyczne wiadomości z procesu, dowiadujemy się głównie, że Mirek nie przyznał się do winy. Kończymy mycie maszyny, Jurek składa 50 odłożonych egzemplarzy „Biuletynu” – jaskółek, które już za godzinę-dwie pójda w miasto.

Jeszcze maszyna do skrzyni i do świronu, meble na miejsce, myjemy się, żegnamy z wujem, zostawiając mu dwa „Biuletyny”; rzeczy do toreb i do Warszawy. Idziemy z ciężkimi torbami w stronę dworca, ale oto nadarza się taksówka. Zarobiliśmy na nią – nie będziemy oszczędzać. Do Warszawy. Odwozimy Jurka pod dom, umawiamy się na jutro w sądzie i jedziemy pod dobrze znany adres, zameldować o skończeniu roboty i *last not least* wziąć wypłatę.

Dojechaliśmy. Jest ledwie po jedenastej wieczorem, więc jak na dysydenckie obyczaje pora zupełnie przyzwoita. W mieszkaniu pełno ludzi – co najmniej połowa redaktorów „Biuletynu”. Nie spodziewali się nas dzisiaj, gratulują, oglądają nowy numer, wydzierają nam prawie wszystkie egzemplarze. Dopytujemy się o numer sali i o godzinę rozprawy. I tu jak w łeb – sprawa skończona, przed godziną zapadł wyrok. Sewek [Blumsztajn] właśnie przyjechał z sądu.

Czujemy się, jakby ktoś z nas wypuścił powietrze. Znowu drukarnia nam coś zabrała. Zenek z księgowym „Biuletynu” obliczają nasz zarobek, bardzo wysoki ze względu na tempo roboty, jeszcze tylko potrącenie 5% na kasę naszego Cechu Niezależnych Poligrafów, Zenek odlicza część Jurka, resztę dzieli na pół – ale tym razem niewiele mamy z pieniędzy przyjemności, dominuje uczucie zawodu, u Zenka związanego po prostu z niespożytą aktywnością, dla mnie to jeszcze jeden świetny dziennikarski temat, który przepadł.

Ale wszyscy wokół cieszą się, jutro wychodzi Bogdan [Grzesiak], „Biuletyn” gotowy, jeszcze tylko trzeba go wywieźć z drukarni do punktów składania. Widzimy zaspanymi oczami kartki, na których Sewek pisze adresy, pod które będą rozwozić, ktoś daje nam zimne piwo. Północ. Do domu, do wanny, do wanny.

Jan Walc

PS. Wszystkich naszych czytelników, także i tych, którzy czytają nas służbowo, informujemy, że związek przedstawionych zdarzeń, faktów i osób z rzeczywistością jest nieprzypadkowy, ale głęboko przemyślany i autor ponosi zań odpowiedzialność. Autor nie sprawdził tylko jednej rzeczy: czy w Rembertowie, w którym nigdy w życiu nie był, nie ma przypadkiem ulicy Zielonej i czy nie mieszka tam przypadkiem p. Nowicki.

JW